

Izabela Uroda

## MOST

Nie miałam obrazu, miałam tylko sygnały, które napierały na mnie mocniej niż cokolwiek, co mogłyby zobaczyć oczy: oddech córki krótszy niż powinien, rwany i nabrzmiały lękiem, kaszel przecinający ciszę coraz częściej, czoło rozpalone do granic, aż trudno było dotknąć go dłonią. Miała cztery miesiące i całą swoją bezbronną obecnością wzywała mnie do czujności, a ja w zimie 1981 roku czułam, że zostałam postawiona wobec zadania, które przekracza wszelkie siły. Mąż internowany, telefon od tygodni martwy, a nawet gdyby ożył i zadzwonił, nie byłoby do kogo się odezwać. Drzwi klatki schodowej nosiły papier z pieczęcią: godzina milicyjna, zakaz zgromadzeń. Litery wbite w kartkę jak gwoździe w deskę, litery pozbawione oddechu, litery ostateczne, które nie przewidują sprzeciwu.

Zawinęłam ją w koc, czapka z pomponem okryła uszy, a moje usta, przybliżone do jej ust, wyczuwały gorący powiew przeplatany świstem, krótki, urywany, obcy, a zarazem najprawdziwszy, bo to on świadczył o jej życiu. Za oknem śnieg nie ustawał, ciężkie płaty spadały na ziemię, zasypywały miasto, zasypywały głosy, zasypywały samą pamięć o ruchu.

W mojej głowie jedno słowo nabrzmięwało jak modlitwa: Koszykowa. Słowo nie było tylko nazwą ulicy, było drogowskazem, obietnicą, ostatnim źródłem ratunku. W tamtej chwili nie znałam innego sensu niż to, by dotrzeć do przychodni, do lekarza, do kogoś, kto usłyszy jej płuca, kto znajdzie sposób, by oddech wydłużyć. Wszystko we mnie drżało od lęku: że nie zdążę i że nie przejdę; że zatrzyma mnie patrol, śnieg, obcy głos, albo że dziecko, które niosłam, zatrzyma się w połowie drogi. A jednak ruszyłam, bo jej krótki, urywany oddech był silniejszy niż wszystkie moje wątpliwości.

Wózek zapiszczał w przedpokoju, jego opór zdawał się mówić, że ta podróż nie ma sensu. Spakowałam książeczkę zdrowia, pieluchę, butelkę z wodą, zamknęłam drzwi i pozwoliłam, by cisza mieszkania została za mną, bo cisza, choć pusta, chroniła bardziej niż ściany. Na schodach chłód wdierał się w dłonie, a wózek zamiast toczyć się lekko, zgrzytał i hamował, jakby z góry znał wynik tej wyprawy.

Na dworze śnieg wślizgnął się do butów natychmiast, a pod nim czało się błoto, zamrożone i twarde, które raniło koła wózka. Córka otworzyła oczy i zapłakała płaczem

ostrym, rwanym, przerywanym kaszlem, płaczem, który przeciął mnie na wskroś, bo niósł w sobie rozpacz i walkę o oddech. Pochyliłam się nad nią, dotknęłam policzka i wyszeptałam: „Idziemy”, słowo skierowane do niej, ale potrzebne przede wszystkim mnie samej, bo musiałam uwierzyć, że naprawdę idziemy, że uda nam się przejść.

Miasto było martwe, ulice puste, tramwaje uciszone, piesi rozplnęli się w śniegu. Warszawa przestała wydawać dźwięki, wchłonięta przez własny strach. Pchałam wózek przez Saską Kępe, mijałam przygaszone witryny, ogłoszenia o mięsie, kartki zapisane długopisem, który nie pisał, numery telefonów, które były numerami do nikogo. Śnieg oblepiał koła, tworzył ciężkie pierścienie, które co chwilę musiałam odrywać rękawicą.

„Damy sobie radę, prawda?” - spytałam półgłosem. Odpowiedzią był płacz, przerywany kaszlem, dźwięk rozrywający powietrze. Przyspieszyłam. Buty przemokły, palce zeszytywniały, łzy z zimna i bezsilności spływały po policzkach i zamarzały na rzęsach.

Na rondzie Waszyngtona ujrzałam czołgi. Stalowe sylwetki wtopione w śnieg, masywne i nieruchome, strzegące przejścia. Obok żołnierze, twarze ukryte w kołnierzach, sylwetki wciśnięte w ziemię, obecność, która nie wymagała słów. Powietrze stało się twarde, niewyobrażalnie ciężkie, wciskało się w gardło.

Nachyliłam się nad córką. „Możemy zawrócić” - powiedziałam, choć wiedziałam, że zawrócić nie można. Ona płakała coraz głośniej, a kaszel i płacz nakładały się na siebie, raz jeden, raz drugi, bez wytchnienia. Przytuliłam ją, czułam jej drżące żebra, ich walkę, ich nieustanne wołanie o powietrze. „Jeszcze kawałek. Jeszcze most.”

Przed wejściem na Poniatowskiego zatrzymał mnie milicjant. Czerwona opaska na ramieniu, spojrzenie martwe, głos powolny: „Dokumenty.” Sięgnęłam do torebki, poczułam, jak strach rozlewa się we mnie w całości. Nie miałam dowodu. Podałam książeczkę zdrowia. „Zapomniałam” - wyszeptałam i zrozumiałam, że to słowo oznacza wyrok. „Nie puszcę bez dowodu” - odpowiedział.

Córka zakaszlała gwałtownie, dźwięk suchy i rozdzierający. Dotknęłam jej ust dłonią, jakbym mogła zatrzymać chorobę samym dotykiem. „Dziecko chore. Muszę przejść. Błagam.” - „Wszyscy muszą” - odparł głosem, który nie zawierał ani współczucia, ani sprzeciwu.

I wtedy pojawiła się we mnie linia nie do zgięcia. Złapałam mocniej wózek, ruszyłam naprzód, krok po kroku, bez zatrzymania. „Obywatelko!” - krzyknął, a głos odbił się od przesęł. Nie zatrzymałam się. Nie mogłam i nie umiałam. Ruszył za mną, lecz w tej samej chwili obraz świata przesunął się: kobieta z siatką minęła nas, żołnierz pomachał komuś w

oddali, drobne ruchy codzienności osłabiły jego czujność i dały mi czas. Zrobiłam to. Uciekłam.

Most zdawał się nie mieć końca. Koła grzęzły w brei, błoto zasysało buty, zimno uderzało w nogi, a ja mówiłam sobie, że słyszę tylko własny oddech, choć ciało drżało, a zęby uderzały o język. Nogi przyspieszyły, zaczęłam biec, nie kontrolując ruchu. Przez cały czas nasłuchiwałam, czy ktoś za mną podąża, nie mając przy tym odwagi, by się odwrócić.

Doszłyśy na miejsce.

W bramie przy Koszykowej koła zatrzeszczały od zmiany temperatury, w korytarzu przychodni pachniało lekarstwami, ktoś podał mi krzesło, ktoś wodę, ktoś powiedział: "Proszę tutaj". Drzwi rozsunęły się metalowym westchnieniem, podałam wózek, wzięłam córkę na ręce, jej czoło parzyło. Lekarz słuchał długo. Zastryk, recepta, obietnica transportu na Żoliborz.

Tam czekały dłonie, które pamiętały moje dzieciństwo. Po przyjeździe do rodziców, rozwinęłam koc, położyłam córkę na boku, podsunęłam poduszkę pod plecy, skórę miała rozpaloną, oddech krótki, a kaszel suchy. W kuchni stygł garnek z wodą, w przedpokoju topniał śnieg z butów, ciemność trzymała mieszkanie w garści, tak jak ja trzymałam w dłoniach jej oddech.

Nad ranem wysoka temperatura opadła o drobny próg, kaszel stracił ostrość, skóra na czole zwilgotniała, zmęczenie przylgnęło do powiek. Nie było fanfar, nie otworzyły się żadne bramy, nikt nie odwołał niczego; było światło dnia wchodzące w okna, była woda nalewana do miski, były dwa oddechy w jednym pokoju, była obietnica, która nie potrzebowała słów.

Wróciłam do pokoju, przysunęłam wózek bliżej łóżka, na bieżniku kół zaschły rowki śniegu i błota, drobny relikwiarz drogi, której nikt poza nami nie zapamięta, pochyliłam się nad córką, policzyłam do czterech, do sześciu, do ośmiu, każdy numer był nitką, która zszywała noc z dniem, strach z ciałem, przeszłość z tym, co dopiero ma się rozpocząć.

Nie oflagowałam tej chwili żadnym słowem, nie potrzebowałam wielkich deklaracji. Nie miałam w sobie triumfu. Miałam wyczerpanie i cichą radość, że linia, która urodziła się we mnie na moście, pozostanie, że w razie potrzeby poprowadzi mnie przez śnieg, cudzą władzę, przez własną bezradność i że ma kierunek, którego nie zmienią żadne rozkazy.

Nie nazywam tego zwycięstwem, nie muszę; wystarczy, że pamiętam ciepło dziecka pod kocem, ciężar niesionego wózka i chłód zmrożonego metalu na dłoniach.